ROZMAITOŚCI.

Dnia 29. Marca. N^er^ 13. Roku 1854.

Lękliwość ludzi do ludzi.

Dziwna w saméj rzeczy że człowiek wobec człowieka się mięsza, na widok obcego coś mu cięży, zawadza. Zdarza się, że byle spojźrzeli po sobie, zaraz spuszczają oczy, rumienią się, milczą i niepokoją, i to bez jawnego powodu.

Że ptaszyna przed sępem na ziemię pada i skrzydła rozpostrze, jest powód po temu; albo że niewolnik ze drzeniem zbliża się do pana który rygor prowadzi chłostą, snadnie i tu pojąć trwożliwość sługi. Wyrozumieć da się także i strach dziéwczęcia co wycieczki nie widzi, gdy się nagle ujźrzy sam na sam wobec natarczywego zuchwalca. A i to raczcie mojéj lękliwości przebaczyć, że mię dreszcz i trwoga przejmuje, kiedy nieprzyjaciel w boju wzniósł oszczep nademną, gdy ranny dogorywam.

Ale to wszystko rzadsze zdarzenia, owszem prawdę mówiąc, ludzie śród boju i otwartéj walki ulegają nierównie mniéj obawom i trwożliwości, niźli przy codziennych schadzkach w domowém pożyciu gdzie się zbiérają w najlepszéj myśli i w zupełnéj swobodzie serca.

Proszę z sobą, przekonamy się. Otośmy w izbach wiejskiego państwa! Towarzystwo zacne; zeszli się goście, sąsiedzcy plebani, urzędnicy starsi i podwładni, kupcy z przedmiejskiéj gildy, i my światowi także wstąpili przelotem. Wszyscy jak można najprzyzwoiciéj kłaniamy się, witamy, ale na sercu widocznie coś cięży każdemu, głosu niewydobyć, a jeźli gdzieś usta słówko wytrącą, odbija się w drugim końcu jakaś odpowiedź z przesłuchu podobna oddźwiękom echa, co doskonale powtarza ostatnie składy i ani wie o piérwszych.

To jeszcze nie dziw bo przesłyszéć się można; ale dlaczego stoją wszyscy jak z krzyża zdjęci? Ten spuścił oczy jak gdyby czegoś po ziemi szukał, tamten utkwił wzrok w kołnierz sąsiada jakby plam dopatrywał, uszy nabiegły krwią, po twarzach rozlał się jakiś uśmiech cierpki z przymusu, a na ustach widocznie chęć pracuje przełamać niewolę języka i zerwać z przed oczu zamglenie; widać że to istotnie żywi są ludzie, ale czego stoją jak posągi?

Spojźrzyjmy po kobiétach! strojne w kwiaty, szale, korónki, czypeczki, czy one na nabożeństwie że tylko ukradkiem spoglądają? Jest tam' życie, jest; a przecie dlaczegoż jak chińska lalka

dopiéro się wtedy nachyli kiedy kto sprężynę napnie, dopiéro wtedy półgębkiem odpowie, kiedy ją kto półsłówkiem potrąci?

Gdyby się tych ludzi nie znało w domowém zaciszu, zdawałoby się że to dobór samych odszczepków rozumu i serca, a nie towarzystwo osób poważnych, godnych, zacnych, równie światłych jak biegłych w swoim zawodzie, niemniéj wesołych jak szczérych biesiadników.

Poznałem raz oficera przy marynarce angielskiéj; proszę go widziéć było na pokładzie okrętu, co to za życie, jaka uprzejmość, grzeczność, przytém śmiałość, odwaga w twarzy, do tego młody, zdrów, wesół, przystojny; z-pod oka ogień pałał, a na czole jakby palcem kto wyrył: „z Bogiem bez trwogi!“ byłby świat palił, a sam z zimną krwią przypatrywał.

Trzeba, że w wieczór zchodzimy się na lądzie w salonie u pani Prezesowéj; mój oficer w galowym stroju jak automat w oponie, głowa wtknięta w obcisłą krawatę jak na kółkach ani jéj na lewo ani na prawo, gibkość w krzyżach gdzieś się podziała, a język w ustach chodził jak indeks w zegarze kiedy się kółka poplączą lub sprężyna pękła.

Gdy się do światła zbliżył, widziałem jak mu na czoło krople występowały, dobył chustki, otarł się niezgrabnie i zcicha tłumaczył sąsiadowi: „ależ tu panie gorąco!“ Zimna wprawdzie nie było, ale złośliwy sąsiad pojmując co się dzieje w marynarzu na lądzie, szepnął do ucha: „to dlatego że tyle dam w salonie.“

Bo też istotnie koło dobranych dam słynących wdziękami i wykwintnością, wydało się nieobeznanemu z pożyciem salonowém marynarzowi, stokroć straszniejszém niżli baterya sześćdziesiąt-funtowa; i czego na pokładzie nigdy nie zaznał, tu wzdrygnął się jak gdyby bomba pod nim pękała, kiedy która z dam go grzecznie zagadła. Po chwili już go i w salonie nie było, umknął z przed oblicza piękności ten co przed tłumami ludożerczéj dziczy ani oka nie zmruża.

Pytam, co tu trwożyło mego bohatyra, który jeszcze dziś rano z taką odwagą mię witał na swojéj twierdzy drewnianéj, zawieszonéj śród nieba i morza między gromem i tonią?

*
* *

Ale po co nam szukać przykładów po okrętach i balach wiejskich, ścielą się jawnie podobne dziwactwa natury naszéj w każdym zakątku świata. Wszędzie jakieś czarnoksięskie zaklęcie na zgromadzeniu ludzi najspokojniejszych, że człowiek wchodząc sam nie wie dlaczego drży i trętwieje.

Mówiła mi raz znakomita dama co niepospolitą odgrywała rolę po najświetniejszych dworach Europy, że się jéj nigdy nie wydarzyło wejść do salonu bez niejakiegoś sklęknienia i zmieszania. Przypomniał mi się w tém pewny osiwiały w bojach wojownik, który mówił: „że i w stu walkach obstrzylane zadrży serce na piérwszy wystrzał;“ i żeglarzowi choć wzrósł na morzu, zbiéra się każdą razą na słabość, kiedy po

wypoczynku w porcie znowu na ocean wypływa.

Zatrzymywałem się z ciekawości czasami w przedpokojach do salonu, ażeby się przypatrzyć twarzom, kiedy goście składali płaszcze i mantylle. Dobrze że zwyczaj zaprowadził wieszać zwierciadła, a zwyczaj wcale dogodny, nie dla czczéj okazałości i chluby, raczéj głęboka mądrość i doświadczenie naprowadziły gospodarza na to.

Proszę się przypatrzyć wchodzącym! I setny nie przejdzie by nie rzucił okiem w zwierciadło, i nie spojźrzał po sobie czy chustka się nie skrzywiła, czy fontaś nie zagiął, czy fałd nie odstał? A jaka mina przytém poważna jakby szło o zdobycie ziemi świętéj. Tu drżąca rączka perełki w kabłączek układa, tam loczek odchylony nagina. Czy powietrza nie staje że dusza piersiami robi? Jak przed skonaniem tylko oddechy dorywcze: „Ach Boże, rękawiczka moja! — Aliniu! zaczekaj, sprzążeczka krzywo! — Miluniu! kulczyk się zagiął!“ — I jakiś ciężar niepewności osiada na czołach, a córka tuli się do mamy.

Czy to wchód na tortury? albo może tam siedzą sędziowie mądrości? albo groźny inkwizytor co z artykułów wiary spowiada? Bah! Zdało-by się bo dziś wiary ani za szeląg; ale to nie! drzwi się otwierają, a otok jasności ozłaca twarze; w pokojach sama wesołość, strojność i piękność.

I nagle niknie trwożliwość co nękała przed wstępem, posępność pierzchła, twarz się rozjaśniła i wita uprzejmiéj niż kiedy na prawo i na lewo. Człowiek odrodzony, byle przez próg przestąpił, chociaż w duszy ten sam, lękliwość w nim tylko przystygła, nazajutrz mimo wprawy, obeznania i doświadczenia ponawia się scena ta sama, i ani sposób wytępić w sobie tego uczucia obawy ludzi do ludzi.

* * *

Śmiać się chce gdy człowiek sam nad sobą się zastanowi, i czasami pomyśli czego się też on boi? Tylko że ten pomysł zwykle po niewczasie przychodzi, już dusza dobrze była w popłochu, nim się wznieciła przytomność. Nic nie pomaga być pewnym siebie, i mieć świadomość czystego sumienia, i czuć swą godność, powagę, wyższość nad ludźmi, — tyle tu rozum nada, co głos wołającego na puszczy.

A co dziwniejsza, że ta lękliwość w nas od maleńkości; tam gdzie się jeszcze ani zna ani czuje różnicy stanu, już natura wszczepiła lękliwość i trwogę. Co to za przeprawę z nami nie miały matki, nim nas przywabiły do gościa albo przynajmniéj byśmy oczu podnieśli! przymówki, głaskanie po czole, popod brodę, mało co pomagały; strach zasłaniał oczy choć głowa szła w górę. Przebaczyć dzieciom — ale za co my starzy nie lepsi?

Zdawałoby się że rozsądek, zastanowienie, przekonanie, a przedewszystkiém serce wolne próżności i dumy, powinnoby ośmielać i dodawać odwagi. Ale ani przekonanie ani ćwiczenie nie oswoją całkiem ludzi do ludzi, bo też i życia nie starczy ażeby przebyć wszelkie rodzaje zbliżenia się osób do siebie,

więc też i nie przepatrzyć wrażeń jakie gdzie kogo czekają.

Trudno! ani czas, ani sposobność każdemu przebywać po dworach, gdzie obyczaje wcale są inne, i oraz gościć po zgromadzeniach miejskich, wieśniaczych, gdzie także osobliwsze przewodzą względy, częstokroć odmienne w każdym domu. Chciawszy się z niemi oswoić, musiałby człowiek albo wałęsać się jak Protéj po świecie, albo przepoić w żywioły tu księdza, tam aktora, tu wojewody, tam giermka, ówdzie ekonoma, kupca, sędzi, pana, sługi, — i z tém wszystkiém jeszcze by nie stało czegoś w obec wojewodzianki, kasztelanki, podczaszanki, a o niższych warstwach ani myśléć. Niema rady jak lękliwości się pozbyć!

Ale, ale! W okolicy Bursztyna bywał przed laty, a może i teraz między ludem zwyczaj, przystrzydz gościowi włosów, i podać dzieciom do rąk jeżli się ponastraszały przychodnia. I moja czupryna posłużyła raz babie za lekarstwo dla dzieci. Chłopczyna wziął włosy do rąk, rozpoznał że to coś bydlęcego, i przyszedł tulić się do mnie.

Więc znalazłby się sposób na lękliwość: oto! ujmować ludzi ze stanowiska sfery nam własnéj, a nie silić się na to jakby się przenieść i zastosować do wiedzy i stanu obcéj osoby. Czyli-to sposób skuteczny? nie ręczę.

Ksiądz kaznodzieja cierpiał może nie mało, nim przemógł drżączkę i głos ustatkował. Wkrótce powołanie, talent, zamiłowanie przesiąkły go kaznodziejstwem, że i przy stole perorował. I bardzo słusznie? W pokorze i w milczeniu słuchali go książęta, panowie, senatorowie, tém bardziéj mogą i domownicy i goście, i ktokolwiek się w sferę jego zabłąka. Ale niechże przypadkiem wymowny dobrodziéj wstąpi między cztéry ściany gdzie biesiaduje kilka osób, których jeszcze nie widział, zaklękną mu usta, stanie zasumiały z pokorą, czuje że niema twierdzy swéj, ambony która go od odwetu chroniła, i cały ten sposób odnoszenia osób do naszéj własnéj sfery zmarniał, a natura jak żywa wróciła. — A czy profesor lepszy? albo aktor?

* * *

Pewnie nie mało w tém śmiałości wystąpić przed tysiącem widzów rozsądnych, a do tego śmielszych w teatrze bo zawisłych tylko od siebie, od własnéj woli, własnego czucia, myśli i przekonania — wystąpić i udawać króla, bohatyra, namiętnego kochanka, a to tyle na prawdę, ażeby go za prawdziwego uznał i sam król i bohatyr i istotny kochanek, a przecież nie mógł brać do siebie tego co on przedstawia. Sztuka w tém nie mała, a ile to odwagi potrzeba ażeby sztuce i publiczności dogodzić! Lecz aktor który przywykł codzień wychodzić na scenę, wkońcu tak się oswoił, że ani cienia w nim lękliwości, gra przed światem jak w domu przed zwierciadłem. I chociaż publiczność tu nie ta co kaznodziei słuchała, a przynajmniej nie ta dusza co tchnęła pobożnością i pokorą, wprawny aktor wyrzuca jak z procy przymówki, klą-

twy, szyderstwa, dodaje migi, gesta, przedrzyski, jak gdyby przed sobą nie widział sędzi, a sędzi groźnego. U Rzymian i Greków wydarzało się że za swawolę głową nałożył, u nas tylko czasami ją traci, gdyż nie są żarty widziéć i słyszéć nad sobą miecze katuszy: urągowiska, szyderstwa, pośmiewisko, gwizdanie, i doznawać coś gorszego czasami co zabija los, sławę i swobodę na całe życie. A na te wszystkie bolesne oświadczenia ani mu wolno zejść ze sceny ani się skrzywić chociaż go nie bluszczem wieńczą, a zszedłszy ani się użalić przed kim, ani usprawiedliwić. Stoi w imieniu publiczności, jak niewolnik posłuszny na skinienie przed panem, który jeżli się w zapędzie poskramia, pewnie nie dla niego ale przez wzgląd na siebie. Nie dziw więc że piérwsze wystąpienie aktora połączone jest ze strachem i obawą, że się rumieni, blednieje, że pod nim nogi mdleją, że się chwieje, że głos słabnie, zmysły odchodzą i cała dusza strwożona. Z tém wszystkiém oswaja się wreście artysta, jąkliwość zginie, wstydliwość zamrze, lękliwość zgaśnie, aktor wpatruje się w publiczność jak w obraz malowany, a czasami do niéj jak do zwierciadła w swojéj komnacie, wykrzywia z siebie postacie jakiego chce mędrca i niedorodka, pana i sługi bez żeny, bez oględu, śmiało i odważnie. Ani go wrzawa nie obejdzie, ani szyderstwo zapłoni. Prawdziwy Sokrates, szczéry Xerxes, wytrzyma niezachwiany, chociaż zelżony zgnilizną spektatorów i paskudztwem dziennikarzy.

Chwalebna obojętność, zaszczytny stoicyzm! Ale dlaczego, proszę, ten aktor patrząc nań z nadworu inny? nawet im większy w nim artysta na scenie, tém skromniejszym, chcę mówić, lękliwszym go widzę w towarzystwie? Bo i z nim to samo co z nami, choć się oswoił z mową książęcą i przejął obyczaj wszystkich stanów.

* * *

Gdyby to jeszcze obawa ta wzniecała się w obec wielkiego państwa, osób znakomitych władzą, potegą, albo wyższych dostojeństwem, nauką, rozumem, wtedy godziłoby się powlec swawolność serca obłoczkiem wstydu, skromności i obawy, by nie ubliżyć temu co tyle zacniejszym od nas. Ale szkoda słów na to, bo inna miara przywarom serca; lękliwość ogarnie i wyższe państwo w obec ludzi niższego rzędu częstokroć tyle co było na odwrot u gminu. Nie śmiem wymienić, ale się nie jednemu wydarzyło widywać państwo z wielkiego świata na uczcie u szlachty drobnego mienia. Wyznajmy, czy pomogły tam co dworskie układy, gracya, wdzięki, zwinność mowy? I dowcip, i rozum, i nauka, i wszystko na co się zdobyć mogło staranne wychowanie, musiały zamknąć się w sobie w obec gminnéj szczeroty; w obec natury zlękła się dusza i twarz zapłonęła rumieńcem.

Coś podobnego stręczy się także, kiedy człowiek po piérwszy raz za granicą; i jak dziś snadnie przesunie się koleją między ludzi obcych obyczajem, językiem i układnością. Miesza się i niepokoi, i w niepamięci o sobie popełnia

niechcąc liczne uchybienia jakich się w domu nie dopuścił. Odetchnie dopiéro aż się zejdzie z kim-ś co mu jest równy znaczeniem, wiekiem, nauką, usposobieniem, albo zawodem życia; z nim znane mu są formy i sposoby zachowania się i rozmowy, jednakowe chęci i uczucia ich zespalają, więc też oddycha swobodniéj.

* * *

Nie piérwsi my schwycili tę ułomność człowieka; znali ją przed nami Grecy, a znali doskonale bo i stosowny wyraz dla niéj obmyślili, przynajmniéj właściwszy niż nasze ogólne: „wstydliwość albo lękliwość ludzi do ludzi,“ bo mówili: „Dysopia“ coby mogło tyle znaczyć co „zawrót oczu;“ i Plutarch dodaje, że disopii ulegają niekoniecznie niżsi do wyższych, ale bywa że znakomitszy przed niższym często zawróci okiem, i to przytém powiada że nie śmiemy nawet w oczy popatrzyć temu który nas o co prosi.

Plutarch pisał jak gdyby się na nas patrzał, bo i nasi szczodrobliwce nie chętnie zajźrzą biedakowi w oko, bądź że im coś z synonimiki angielskiéj załatuje, gdzie każdy żebrak jest złodziéj, więc go odprawić czémprędzéj gdyż niebezpieczna z takim zażyłość, bądź że szlachetność obywatelska cierpi patrząc iż ziomek bezwstydnie rękę wyciąga, i dlatego sam się za niego rumieni, bądź co chce, ale to prawda że w obec żebraka pan oczy zawróci i powtórzy „dysopia!“

U niektórych ludzi wyradza się ta Dysopia w prawdziwą Antropofobią; człowiek człowieka się boi, i czy-to z umysłu czyli z usposobienia, ucieka przed ludźmi, kryje się, zamyka. Na nikim ta słabość tyle nie cięży co na Angliku. Szlachta angielska po wsiach mieszka zaparkaniona w kasztelach, wprawdzie wykwintnie ale w odosobnieniu, obsadza się dziełami kunsztu, ozdobami przemysłu i sztuki ale tylko dla siebie, skarbi wszelkie wytwory świata, a strzeże je zawistnie przed okiem cudzoziemca, którego odwiedziny więcéj wrzawy i zachodu po ich Housach nabawiają, niż u naszego szlachcica gościna Wojewody albo pana Marszałka. Nie bez kłopotu wprawdzie obejdzie się i u nas, bo to już tak Pan Bóg dał że w obec cudzego coś człeka zamgli. Patrzą po sobie, niby się dziwią, chcieliby mówić, coś dławi, i gdyby się coś przypadkiem nie nawinęło, co potrąca uwagę, rozstaliby się wcale oziębłe.

* * *

Co w człowieku z natury, tego nie godzi się potępiać, raczéj pamiętać że na to mamy w sercu przywary ażeby je rozum prostował, sam się ćwiczył, człowiek doskonalił, a świat w ozdoby porastał, bo i jadowita roślina nie bez przyczyny na ziemi, a cykuta tylko w ręku nieuka zabija, są przypadki gdzie służy bardzo skutecznie.

Gdyby-to Pedagogia chowała dzieci jak Bóg przykazał a natura podszepła, poznałaby się była dawno, że lękliwość i powinnowata z nią wstydliwość to są szczere ozdoby społeczeństwa ludzkiego, prawdziwe węzły towarzyskiego pożycia, w nich zaród cnót lubych: skro-

mności, uprzejmości, grzeczności; od nich poważanie i uszanowanie dla starszych, przy nich rośnie usłużność i poświęcenie dla pięknéj a słabszéj płci niewieściéj, z niemi stałość, wierność, przyjaźń, one obłokiem, one tłem swobody towarzyskiéj, one duszą patryarchatu.

Wielu gani lękliwość serca, a przechwalają śmiałość biorąc ją za szczérość, jak gdyby lękliwość nie mogła być szczérą. Szczérość, to rzecz inna; kłamać umie lękliwy równie jak śmiały, a przysłowie niesie o wszystkich, gdy powiada: „Wyłże się zawsze serce przed rozumem.“ Ale kto? lękliwość potępia, to właśnie ten co jéj się wstydzi, ten sam co się lękliwcem rodził a tylko przez wprawę, przez obcowanie ze światem przyswoił sobie niejakiś połysk odwagi. Chlubi się z swego zwycięztwa nad sobą! to mu się godzi; ale dlaczego wchodząc trzaska drzwiami, zżyma się chociaż nic niezawadza, zatapia wzrok w sąsiada choć on nie rogaty, a gada na głos chociaż nikt nie głuchy? to do niedarowania. Gorsza przywara śmiałość kiedy się wzmaga, bo się przerzuca w zuchwalstwo, pobratymcę dumy i pychy, gnębicielkę wesołości, żartu i grzecznego pożycia które tylko tém stoi że szanujemy osobistość, prawa, charakter i przymioty każdego.

Obiecywał sobie pan Dumont wieczerzę u kardynała Richelieu, ale jéj nie jadł. Pan Dumont, jeden z mniejszych fabrykantów w Saint-Denis otrzymał dnia pewnego bilet z Rueil, wioski pod Paryżem gdzie kardynał bawił, i oraz zaproszenie nazajutrz na wieczerzę do jego eminencyi.

Dumont oczom swoim prawie niedowierza, odczytuje list po raz drugi i trzeci, przypatruje się dobrze adresowi i przekonywa że list istotnie do niego. Uradowany zatem wielce, chwali się przed żoną i córkami, a kramarki z uciechy i zaszczytu dwakroć podrosły.

O godzinie czwartéj dosiadł fabrykant wierzchowca, i ruszył prosto do Rueil. Lecz ledwo był za miastem, zaskoczyła go burza z deszczem ulewnym. A że się wybiérał z pospiechem, zapomniał wziać płaszcz, wracać nie było czasu, myśląc że burzę przepędzi, popędzał konia co siły, ażeby nie uchybić minuty.

Nic nie pomogło, ulewa wzmagała się niesłychanie, pan Dumont przemókł do nitki choć może piérwszy raz w życiu puścił się czwałem, wreście i koń ustał, i jeździec się unużył. Skręcił więc do piérwszéj przy drodze gospody w Nanterre, i pełen rozpaczy obsuszał przemokłe stroje.

W tém wchodzi inny jakiś podróżny, również przemokły, i zasiada po drugim boku kominka. Z początku spoglądali po sobie podróżni nie wchodząc w rozmowę, nareszcie pan Dumont zawołał zniecierpliwiony: „Co za pluta niegodziwa!“

— Brzydka, ani słowa, odrzekł nieznajomy, ale zapewne wkrótce przeminie, i niebo znów się wyjaśni.

— O, gdyby tylko prędko, przerwał fabrykant, radbym dostać się czémprędzéj do Rueil.

Nieznajomy spojźrzał tylko, jak gdyby pytał: co on mówi:

— Ho, ho, rzecze pan Dumont daléj, „deszcz zamiast ustawać, bardziéj się wzmaga, i gromy biją na piękne, ale co robić, muszę jechać.

— Musi to być zapewne coś ważnego, kiedy się pan nie lękasz takiéj burzy....

.....I bardzo ważnego; nie mam też przyczyny taić się z tém, mówi fabrykant, że zaproszony jestem dziś na wieczerzę u kardynała.

— Teraz rozumiem, co pana tak nagli. Ztémwszystkiém do Rueil jeszcze daleko, i nim dojedziesz, przemokniesz do nitki, a w takim stanie trudno będzie panu zaprezentować się kardynałowi.

— Nic to nie wadzi; owszem spodziewam się, że kardynał mnie przyjmie z tém większą łaskawością.

— I to być może, lecz jeżli śmiem pytać, to zapewne musisz pan mieć ściślejsze związki z kardynałem?

— Przeciwnie; nawet nie mówiłem z nim nigdy, i nie umiem sobie wcale wytłómaczyć téj łaski.

— Kardynał, mój panie — rzecze z cicha nieznajomy, nie zna żartów, gdzie idzie o sprawy kraju, i nie lubi przymówek. Czasem jedno słóweczko wzbudza w nim podejżrzenie. Radziłbym więc nad tém się zastanowić. Czy nie dałeś pan kiedy kardynałowi powodu do jakiéj niechęci?

— Zdaje mi się, że co do tego mogę być spokojnym. Pilnuję mego zatrudnienia, i nie mieszam się do spraw politycznych. Raz tylko jeden pozwoliłem sobie zrobić uwagę dla kardynała może mniéj przyjemną, a to ubolewając nad śmiercią księcia Montmorency. Pewny jednak jestem, iżbyś na mojém miejscu i pan tak postąpił: pradziad mój bowiem był nadwornym marszałkiem książąt Montmorency.

— Mój kochany panie, wydajesz się być uczciwy i radbym ci się w czém przysłużyć. Radzę więc nie jechać do Rueil.

— Nie jechać do Rueil! Zaraz siadam na koń i jadę mimo ulewy.

— Powiem panu coś więcéj, tylko proszę być nieco cierpliwszym. Sądzisz pan że go w Rueil oczekują z wieczerzą. O, mylisz się bardzo, wiesz co cię tam czeka? szubienica!

— Wielki Boże! czy to być może? — zawołał z przerażeniem pan Dumont. I nachyliwszy się ku nieznajomemu, zapytał cichym i trwożliwym głosem: Prze Bóg miły, mój panie, mów, zkąd to wiesz?

— Nie pytaj mnie zkąd wiem, ale ratuj się, póki czas jeszcze.

— Cóż ja mogłem zawinić?...

— Bóg to raczy wiedzieć — odrzekł nieznajomy, lecz właśnie zwołano mnie po to, abym pana powiesił.

Zbladł pan Dumont, i pełen trwogi odskoczył; a któż pan jesteś, Dla Boga?

— Kat z Paryża, i z rozkazu Jego Eminencyi mam panu życie odebrać. Pomnij, że wielką wyświadczam przysługę, ostrzegając go, i że najmniejsza nieostrożność ze strony pana, może mnie pogrążyć w najwieksze nieszczęście!

Fabrykant więc dopada konia, i puszcza się nie do Rueil lecz do Paryża, nie patrząc burzy ni słoty, przybywa do miasta i nie wraca do domu nawet, lecz ukrywa się u jednego z dawnych przyjaciół. Zaopatruje się w pieniądze, i przebrany dostaje się do Kaletu, a ztamtąd do Anglii.

Dopiéro we dwa lata gdy był pewnym że go nieboszczyk kardynał na wieczerzę nie będzie prosić, powrócił na łono familii.

Moc w lodach. Wiadomo że flaszka zatkana pęka kiedy w niéj woda zamarznie; ale jaka jest moc w lodach, pokazało się dopiéro kiedy raz wystawiono na zamrożenie wodę w bombie żelaznéj, $15^1/_2$ cala średnicy a o ścianach na $2^3/_4$ cala grubych. Kula pękła zaraz gdy woda zlodowaciała, a z taką siłą że kawał o 150 funtach uleciał w powietrze. Według obliczenia wynosić musiała ta siła 2,600,000 funtów. Ztąd też, iż woda marznąc rozdyma się, spływa lód na wierzch, zawsze atoli wystaje tylko na jedną dziesiątą część znad wody, a dziewięć dziesiatych obwodu zanurza się.

Kto się poparzył, niech weźmie oliwy na pół z wapienną wodą.

Ach jak to miło w lecie, dzień tak długi! — Co za nierozum moje dziécię — dzień z krótkim terminem najlepszy, przestrzegł tatulo bankier.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*